

rych gotowała się jego zdobycz, czekając niecierpliwie na należną mu porcję „za znaleźne“.

* * *

Po pewnej bitwie stoczonej przez Legiony wspólnie z armią węgierską, pod Marmaros-Sziget, ruszył nasz batalion z powrotem do Huszt, aby się połączyć z pułkiem. Późną nocą, zmęczeni, przemoczeni, przemaszerowaliśmy do stacji kolejowej, żołnierzy ulokowano w wagonach, jak również i wozy naszego trenu.

Praca ta trwała do piątej godziny rano, poczem pociąg ruszył w stronę Törözköz. Na stacji w Huszt pozostała tylko mała załoga i część intendatury.

W zamieszaniu ogólnem, zagubił się Cezar, Bastgen zaś zapomniał o nim zupełnie, zajęty wyczerpującą pracą nocną.

Siedząc w wagonie, przypomniał sobie o psie i pytał kolegów, czy nie wiedzą co o nim. Nagle wzdłuż toru dało się słyszeć szczekanie.

Odchylił Bastgen drzwi wagonu i zobaczył biegącego wzdłuż toru Cezara, który wymachując ogonem, pędził żwawo, co chwila szczeknąwszy, jakby znak chciał dać, że jest i służby nie porzuca.

Jezor czerwony ze zmęczenia z pyska wystawił, jednakże nie zwalniał w biegu.

— Cezar! Cezar! — zawołał Bastgen.

Oliwkowemi ślepiami spojrzał na stojącego pana w drzwiach wagonu, pyskiem pokręcił, zaszczekał i pędził dalej począł.

Wreszcie stanął pociąg, Bastgen zeskoczył z wagonu, kudłate psisko z łapami na niego uderzyło, uciészne skoki wyprawiając na powitanie.

Wywindowano go do wagonu, gdzie skacząc po kolei około żołnierzy, łasił się i przymilał.

— No, jest wasz przyjaciel! — odezwał się jeden z żołnierzy.

— No, tak — odparł Bastgen — trapiło mnie to, gdzie psisko się podziało, ale teraz wszystko w porządku.

Zmęczony Cezar wyciągnął się na tornistrach, pysk podniósł do góry i ślipkami wodzić począł po obecnych, merdaniem ogona wyrażając najgłębsze swoje zadowolenie, że znalazł się pomiędzy swoimi.

* * *

Kapitanowi Januszajtisowi dodano dwa działka górskie z rozkazem powstrzymania Moskali, aż do zupełnego wycofania się Legionu z tych linii.

Natychmiast zatarasował przejście z Krzywórní do Żabiego pluton podchorążego Smorawńskiego i przez dwa dni powstrzymywał nieprzyjaciela, mimo że nieustannym ogniem armatnim prali Moskałe na pozycje Legionistów. Grad kul z karabinów maszynowych i zwyczajnych stali.

Tymczasem bataliony, wycofawszy się z zagrożonych pozycji, natychmiast poczęły się szykować do dalszej akcji, zmierzającej do oskrzydlenia pułków rosyjskich, zamierzających przedrzeć się przez pasmo Tatr.

Bez przerwy prawie trwające marsze, kiepskie odżywianie, nocowanie na szczytach gór w terenie wiecznego śniegu, przytem ciągła czujność wyczerpywać poczęła żołnierzy.

Parę razy nieraz w nocy zrywał się żołnierz do ataku z gorączką w ciele i rozprężeniem nerwów, jednakże znosili to z podziwienia godną wytrwałością — prawie że żyli się z tem i przyzwyczaili.

Jednakże zdarzały się wypadki, że przemęczony ten lub ów zasnął na pozycji, otulony śniegiem jakby puchem białym, że w marszu niekiedy kolega osunął się na ziemię, zasypiając momentalnie.

Patrząc nieraz, jak na przemokłą ziemię z rozkoszą rzucali się żołnierze, z jaką lubością się wyciągali, choć wilgoć do szpiku dochodziła, miało się wrażenie, że to ludzie z kamienia lub stali.

A jednak sen to wielki mocarz.

Zgłodniały żołnierz do ust kawałek mięsiwa niosąc, w trakcie tego usypia. Komiczny to był widok siedzących, kiwających się postaci nad menażkami z dymiącym rosołem lub czarną kawą. Nie dziwota! Być parę dni w marszu, nie przespać parę nocy, wystarczy to aż nadto.

Zrywanie się podczas nocnej służby do ataku do tego stopnia rozprężyło nerwy niektórym żołnierzom, że za łada szmerem zrywali się, jak opętani. Najmniejszy szmer drzewa, czy potoku był dla nich szeptem Moskali, kołysany wichrem krzaczek — podkradającym się nieprzyjacielem.

Podczas marszów utrapienie także było z maruderami. Wozy zajęte na amunicję i prowiant, specjalnych zaś wozów dla maruderów nie było.

Stawali tedy rzędem, czekając na nadjeżdżający tren, a który zaś zdobyć nie mógł miejsca na wozie, lub podążyć za trenem, zostawał w tyle na łasce losu.

Dużo się przez to maruderów dostało do niewoli, a niejeden, zabłądziwszy w nieznana okolice, długo samodzielnie musiał się błąkać, póki nie wpadł w ręce Moskali, lub śladów swojej kompanii nie odszukał.

Że tam i niejeden mógł zabłąkany zginać, czy to z głodu, czy też w przepaść nagle się otwierającą runąć, czy w podstępne na nizinach moczardło wpaść, to pewnem było.

Zdarzało się nieraz, że cały pluton dniami błądził, póki nie dotarł do kwatery. Z kompanii nieraz wielu żołnierzy brakowało, nikt nie wiedział, co z nimi jest — zabici, ranni, czy w niewoli. Po kilku dniach znajdowali się zagubieni, ze spieczonemi gorączką ustami, z wybladłą cerą, z obszarpanym płaszczem i ubraniem.

Ciekawe przytem epizody opowiadali.

— Dwa dni — opowiadał kolegom swoim w szpitalu Bastgen — po bitwie pod Nadworną błąkałem się w lesie, odłączywszy się od oddziału. Pierwszego dnia pod wieczór, orientując się ogłosem kanonady, grzmącej na północno-wschodnim terenie walki, starałem się przedrzeć przez gęstwinę, aby odnaleźć jakikolwiek ślad naszego wojska. Przedarłem się przez gąszcze, zmęczony pięć się poczęłem w górę, która przedemną stanęła. drogę mi na niziny węgierskie zagradzając.

Przypuszczałem, że na północnym stoku łatwo natrafić mogę na patrol wywiadowczy, czy też sanitarny, z którymby dotrzeć mógł do pułku.

Przypuszczenia jednakże okazały się mylne. — Zwalone armatnimi pociskami drzewa w poprzek drogi leżały, tak, że przechodzić przez nie musiałem, co znużyło mnie ogromnie i wyczerpało. Wreszcie dotarłem do szczytu. Brnąć w śniegu po pas, zamierzałem przejść na południowy stok góry, a stamtąd na niziny, gdzie według mego mniemania byłbym już bezpieczny. Jednakże góra ta ku południowi spadziśta była, a u podnóża jej potok górski płynął, którego szmer dochodził aż do mych uszu. Stałem chwilę bezradny. Noc ciemna, mglista, niebo zachmurzone skryło oblicze księżycy, nie przepuszczając przez chmury jasnych promieni.

Schodzić z góry — niebezpiecznie, gdyż łatwo w ciemności wpaść w przepaść, pozostać do rana, to także nie dobre. Wybrałem jednakowoż to ostatnie. Puszka konserw i ćwierć bochenka chleba chroniło mnie od głodu, a zimno jakoś się przetrzyma — pomyślałem. Odpiąłem koc od tornistra, pod drzewem go rozłożyłem, płaszczem się otuliwszy, usiłowałem przespać się trochę. Febra poczęła tłuc mną, zęby dzwoniły z zimna, po ciele ogniki od czasu do czasu poczęły przechodzić, senność ogarniała. Złe — pomyślałem wówczas — usnę na wieki. trzeba się ruszać, nie dać się zmożyć senności. Łopatą odgarnąłem śnieg wokół drzewa, do mchu leśnego się dogrzebałem, poczem tańcząc, jak niedźwiedź na łańcuchu, odpędzałem senność i zimno.

Nagle w krzakach coś raptownie zaszeleściło. Porwałem za karabin, wpatrując się uważnie w tę stronę. Zamigotało coś w krzakach. Przypuszczając, że wilki mnie zwietrzyły, zmierzylem w stronę krzaka.

Hau! Hau! — szczekanie dało się słyszeć i kudłaty Cezar z rozmachem wpadł na mnie, przewracając w kupę odgarniętego śniegu. Zanim wygramoliłem się stamtąd, oblizał mi twarz z całą dokładnością, pazurami podrapał po rękach.

Noc spędziliśmy przytuleni do siebie, jakby dwaj najlepsi przyjaciele. Od cielska Cezara biło gorąco, które mnie rozgrzewało.

Rano dałem mu połowę z mych prowiantów, które z zadowoleniem pożarł, wylizał puszkę dokładnie jeżorem, poczem ruszyliśmy dalej. Cezar biegł przodem, węsząc, szukał drogi, jak gdyby chciał się odwdziżyć i przysłużyć.

Ostrożnie schodząc na dół, dotarłem do szumiącego potoku, który w bród trzeba było przejść. — Podkasałem płaszcz, karabin ująłem w rękę i ruszyłem śmiało w wodę.

Cezar nie bardzo zadowolony był z kąpieli, jednakże wskoczył za mną do wody i parszając mordą na przeciwny brzeg wylaź, poczem oblizywał zmoczone kąpielą kudły.

Obmyłem twarz w potoku, krzepiąc się zimną, źródlaną wodą, następnie baczuie poczęłem nadłuchiwać.

Kanonada trwała dalej.

Raz, jakby przedemną, drugi, jakby tuż za górą, z której co tylko zeszedłem, tak echo przynosiło wyraźne salwy kanonad. Rzęgot karabinu maszynowego echem ginał w lesie, jakby maszyny parowej terkot.

Świsnąłem na psa, który węszyć coś począł w krzakach i ruszyłem dalej. Nagle Cezar zawarczał. Spojrzałem mu w ślepią. Oliwkowe ślepią zagnione były, jakby fosforem posmarowane. Zawarczał po raz drugi. Przypadłem za krzak, nieruchomo przywarłem do ziemi.

Ciszę przerwał łomot łamanych gałęzi, stuk butów o ziemię dawał znać, że patrol idzie.

Serce zabiło mi gwałtownie!

Jeśli nasza, skończona moja męka, jeśli nieprzyjacielska, wpadłem w paszczę. Postanowiłem bronić się do upadłego. Kilka wyrzów rosyjskich posłyszanych upewniły mnie, że to Moskałe.

Bronić się będę, ale w tym wypadku, gdy mnie spostrzegą — leżąc w ukryciu przemysliwałem.

Zapomniałem zupełnie o Cezarze. Ten leżąc koło mnie, począł warczeć groźnie. Mógł mnie zdradzić. Szarpnąłem go za sierść. Pies jakby zrozumiał, wyszczerzył kły, ślepią czerwienią mu zasły i czekał cierpliwie. Było ich trzech. Ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, podchodzili ku mnie. Nie było czasu do namysłu. Pierwszego z nich wzięłem na cel, wypaliłem. Czy ręka mi zadrżała, czy też tak nerwy mną wstrząsnęły, żem chybił. Moskałe przypadli do ziemi, poczęli zachodzić mi drogę. Dopełziłem do potoku, poczem błyskawicznym rzutem przeprawiłem się na drugą stronę, zostawiając Cezara na przeciwnym brzegu. Zobaczyli mnie przepływającego, posłali kilka kul, krzycząc, bym się poddał. Cezar usiłował pójść w moje ślady, jednakże stojący na brzegu żołdat zamierzył się na niego kolbą. Pies skoczył na żołnierza, łkami chwycił go za piersi, szarpiał nim. To sprawiło zamieszanie pośród nieprzyjaciół, którzy pospieszyli koledze z pomocą, a tymczasem mnie udało się umknąć bezpiecznie. Gdyby nie to, żem nie miał naboi, byłbym zasłonięty strzelą do nich, a możliwe, że byłbym uratował Cezara. Tegoż dnia pod wieczór znalazłem się w Rokamező, gdzie połączyłem się z moim oddziałem.

— A Cezar? — spytał jeden ze słuchaczy.

— Wierne psisko, widocznie padło pod bagnietami Moskali, co mnie wolność dało.

